

Piotr Klimaszewski **Lata licealne i nie tylko**

Klasa I-V

Wspomnienia muszę zacząć od lat wcześniejszych, przedlicealnych, gdyż miały one niewątpliwie wpływ na moje podejście do nauki i wiążą się z niektórymi wydarzeniami w liceum. Do szkoły podstawowej poszedłem w Łodzi, co najmniej pół roku za wcześniej, na skutek pomyłki urzędniczek z kuratorium. Rodzice nie zamierzali jednak niczego wyjaśniać, przetrzymywać mnie w domu przez kolejny rok, i posłali mnie do szkoły w 1947 r. Czytać i pisać nauczyłem się szybko, natomiast długo walczyłem z związaniem kokardki. Raz się tak guzdrałem, że zaprzyjaźniona koleżanka zawiązała mi buty przed całą klasą. No, trochę było mi wstyd. Gdy doszły poważniejsze przedmioty, to z wyjątkiem matematyki wszystko olewałem. Matematyka, a później fizyka – wchodziły mi do głowy automatycznie. Podobnie jak wiadomości sportowe i reguły z języka francuskiego, którego prywatne lekcje pobierałem od trzeciej klasy. W podstawówce raczej się nie wysilałem, ale nikt z nauczycieli mi nie dokuczał z prostego powodu. Mój Tata był dyrektorem technicznym rozgłośni łódzkiej i kilkakrotnie radiofonizował szkolne uroczystości. Trudno w takiej sytuacji było gnębić syna. Dopóki moje zachowanie było we względnej normie

wszyscy na wszystko przymykali oko. Gorzej było w klasie trzeciej, gdy wpatrzony w dużo starszych kolegów, prawdziwych łobuziaków (drugorocznych), zacząłem przyjmować ich maniery. Posypały się uwagi w dzienniczku ucznia. Podpisy zamiast mojej mamy fabrykował kolega. Pamiętam powtarzający się dialog z panią wychowawczynią (Zdzisława Kall), którą bardzo lubiłem:

- Pokazałeś uwagę Rodzicom?
- Pokazałem.
- I co mówili?
- Mam się poprawić.
- Obiecujesz?
- Obiecuję.

W Łodzi dotrwaliśmy do zakończenia piątej klasy w 1952 r. Wówczas Tata został przeniesiony z całą rodziną do Warszawy. Z czasów łódzkich pozostała mi wierność w kibicowaniu ŁKS-owi i miłość do miasta. Ile razy odwiedzę Łódź i przejdę się Piotrkowską (dla niewtajemniczonych, to tak jakby dawna warszawska Chmielna, miała długość 3 km z mnóstwem eleganckich sklepów, restauracji i pałaców) – mam wrażenie, jakbym unosił się w powietrzu. Magię tego miejsca wyczuł pewnie Selim Kryczyński, kiedy brał udział w Łodzi w kręceniu scen z filmu "Zaczarowany rower". Moja córka, która w czasie studiów dorabiała jako hostessa i na początku lat 90. brała udział właśnie na ul. Piotrkowskiej w Łodzi w promocji telefonów komórkowych ERA – mówiła mi:

- Tata, myślałam, że unoszę się w powietrzu.

A zatem pewien czar miejsca przeniósł się na następne pokolenie. Z Warszawą jestem oczywiście również związany bezgranicznie, dlatego moim marzeniem byłoby stworzenie czegoś na kształt duopolis, połączonych szybką koleją miejską z czasem dojazdu 30 min. Powstałaby prawdziwa, potężna aglomeracja miejska.

Ze szkoły natomiast wyniosłem wstręt do katechezy. Spowodowała to paskudna katechetka, która raz solidnie wytargała mnie za włosy. Powód pewnie jakiś był, ale żeby od razu tak ostro. Stara wiedźma, stanowiła potwierdzenie teorii Darwina o naszym pochodzeniu od małp.

Muszę wspomnieć jeszcze o pewnym błędzie wychowawczym, który popełniali moi Rodzice. Zamiast mnie chwalić za wszystko, co zrobiłem, byłem po każdej sprawie, w której uczestniczyłem raczej krytykowany (wszystko można zrobić lepiej) i trochę wyśmiewany. A to źle się przywitałem, brzydko się ukloniłem, użyłem niewłaściwego słowa, albo źle coś załatwiłem i niedbale odrabiam lekcje. Każdej akcji towarzyszy reakcja. Doszedłem do prostego wniosku – lepiej nic nie rób, nie popełnisz błędu. Miało to dla mnie fatalne skutki pod koniec szkoły podstawowej.

Klasa VI-VII

Jak wspomniałem, znaleźliśmy się z całą rodziną w Warszawie w 1952 r. Świadectwo z piątej klasy miałem nienajgorsze – same czwórki i piątki. Zamieszkaliśmy na ul. Noakowskiego, a zostałem zapisany do Szkoły nr 23 przy ul. Mokotowskiej. Spośród późniejszych kolegów licealnych, byłem w jednej klasie z Grzegorzem Niedźwieckim i Karolem Alsterem z licealnej klasy C. Natomiast moi późniejsi koledzy klasowi Wojtek Walczak, Selim Kryczyński i Karol Bakałasz byli w klasie równoległej. Z Selimem prawie się nie znaliśmy, natomiast z pozostałymi kolegami grywaliśmy w piłkę na Polnej, w jordanu. Z nami szczególnie zaprzyjaźnił się Wojtek Walczak. Zintegrowała nas trochę świetliczanka, zetempówka, która miała ambicję stworzenia zespołu tanecznego. Na konkursie dzielnicowym zespół miał zatańczyć jakiś ruski taniec. Trenowaliśmy dosyć dużo. Poznaliśmy wówczas fajne dziewczyny z klasy Wojtka – m.in. siostry Kamińskie, o których wspominał Selim. Powstał mały zespół ośmioosobowy puszczony zbyt wcześnie na szerokie wody, czyli na scenę. Występ w sali YMCA zakończył się kompletną klapą z mojego powodu. Na samym początku tańca, na skutek tremy tak pomyliłem figury i kroki, że Wojtek z partnerką chyba do końca tańca przeze mnie nie mogli odnaleźć się na scenie. Zakończyło się ogólnym płaczem. Na swoje usprawiedliwienie muszę podać tradycyjnie fatalny strój. Mieliśmy tań-

czyć w butach z cholewami a tańczyliśmy w kaloszach. Przy posuwistym kroku po prostu się potknąłem i zbyt wcześnie zacząłem obroty z partnerką, co spowodowało kompletny galimatias na scenie. Nasza opiekunka jednak miała twardy charakter. Zorganizowała w rosyjskiej ambasadzie stroje kozackie i wystąpiliśmy po raz drugi, w rocznicę rewolucji. Tym razem poszło nam dobrze. Gratulowali nam goście z ambasady rosyjskiej. Przy okazji okazało się jak wiele dzieci prominentów w naszej szkole operuje już dobrze językiem rosyjskim.

Po wspólnym treningu tanecznym spotykaliśmy się z dziewczynami. Na ogół wychodziliśmy na Agricolę, gdzie w świetle gazowych latarni było tajemniczo i romantycznie. Zaczęły się pierwsze pocałunki, trochę o charakterze sportowym. Chłopcy ustalali kolejność, w jakiej mieli całować partnerki. I tak to szło. Chyba wszyscy byli zadowoleni, bo spotykaliśmy się codziennie. W domu opowiadałem o intensywnej nauce i dokształcaniu w kółkach matematyczno-fizycznych. Bardzo miło wspominam ten okres nauki.

Sielanka trwała prawie kilka miesięcy. W pewnym momencie poczuliśmy jak nasza ambicja naukowa jest podrażniona. Otóż oceny w dzienniku absolutnie odbiegały od naszych marzeń. Zbliżało się półrocze i coś z tym należało zrobić. Indoktrynowani "Historią WKP(b)" zdecydowaliśmy się na ruchy radykalne. Dziennik został spalony. Niektóre oceny poprawiono, ale wynik ogólny kiepski: trzy

osoby relegowano ze szkoły, a pięciu kolejnym obniżono stopnie ze sprawowania. Szczęśliwie załapałem się do tej drugiej grupy.

Muszę coś dodać na temat nauczania. Moim wychowawcą był historyk, człowiek inteligentny, po UW, prześlągnięty już ideą fałszowania historii zgodnie z obowiązującymi trendami. Dosyć dużo już wiedziałem z historii od mojego Taty i pewnych rzeczy po prostu nie chciałem przyjmować do wiadomości. Stąd pojawiły się moje pierwsze problemy z tym przedmiotem, które trwały również przez całe liceum.

W szóstej klasie polskiego uczyła wychowawczyni z klasy Wojtka Walczaka. Była młodą nauczycielką. Chyba ostrością chciała nadrobić braki wiedzy i rutyny. W mojej klasie byli uczniowie z różnych stron Polski. Pani postanowiła sprawdzić ich umiejętności w ortografii. Zasady oceny podała proste: bez błędu – piątka, jeden błąd – czwórka, dwa błędy – trójka i trzy błędy – dwójka. Ja błędów nie robiłem i się nie bałem. Ale wynik był najgorszy – dwójka. Popatrzyłem krytycznie na treść. W tekście trzy razy występował zwrot "przede wszystkim" i trzy razy napisałem go razem. Pani uznała to za trzy błędy. W domu złymi ocenami w ogóle się nie chwaliłem. Ale mój Tata miał bardzo dużą intuicję. Akurat tego dnia sprawdzał moje postępy w nauce. Zobaczył klasówkę i mało się nie wściekł. Uznał słusznie, że błąd jest tylko jeden. Następnego ranka pojawił się w szkole, zrobił awanturę

pani dyrektor, ta zjechała nauczycielkę, a mnie w końcu stopień poprawiono. Wkrótce sprowadzono inną panią od polskiego, reprezentującą naprawdę wysoki poziom.

Jedna ważna sprawa z podstawówki wiąże się z liceum Gottwalda. Otóż z kuratorium przysłano na douczanie, a później na nauczanie w naszej klasie panią G., która we wspomnieniach Selima z liceum występuje jako nauczycielka od polskiego. Pani słabo orientowała się we wszystkim, dlatego rzucono ją na odcinek geografii. Tutaj, na poziomie szóstej klasy raczej niczego nie można było zepsuć, chyba że własny wizerunek. I to się udało.

Wracam do problemu olewania pewnych spraw urzędowych. Dwa miesiące przed zakończeniem szkoły podstawowej dzieci pragnące iść do liceum miały wspólnie z rodzicami przygotować komplet odpowiednich dokumentów. Szkoła z kolei miała przesłać zestawy dokumentów do kuratorium. Postęp w gromadzeniu dokumentów był kontrolowany co tydzień przez panią dyrektor. Ja nigdy się nie przyznałem, że niczego nie przygotowałem. Jak zwykle mój Rodzic tknięty intuicją, na tydzień przed zakończeniem szkoły spytał, czy sprawy dokumentów do liceum są w załatwianiu. Trochę udałem głupka, że niby nie wiem i mój Tata jak zwykle poszedł do szkoły i wszystko załatwił w jeden dzień. Nawet nie zrobił mi awantury, ale jedno spojrzenie ojca wystarczyło mi za reprimendę i nauczkę na

całe życie. Złożyłem podanie o przyjęcie do liceum Gottwalda, które cieszyło się dobrą opinią i do którego miałem najbliżej.

Liceum przy Parkowej, IX.1954

Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Przyjęto mnie do liceum, ale przy ul. Parkowej. Nie pamiętam, z jakiego powodu – słabych stopni, późnego złożenia dokumentów, czy rejonizacji. Mieszkalem na rogu Noakowskiego i Koszykowej, a zatem idąc do nowej szkoły miałem do przejścia całą Noakowskiego, całą Polną, całą Klonową do Belwederskiej i odcinek Parkowej. W sumie niezły kawałek drogi. Na otwarcie roku szkolnego szedłem jak na ściecie. Szkoła ciasna, tłok niesamowity i jeszcze idiotyczny apel uczniowski na małej przestrzeni. Rozejrzałem się jednak dobrze a tam istny raj. Prawie same dziewczyny. Trafiłem do klasy francuskiej gdzie na 30 osób było tylko 5 chłopców. Szybko stałem się czołowym uczniem, otoczony dziewczynami, które konsultowały ze mną wyniki z matematyki, fizyki i francuskiego. Powroty do domu były też sympatyczne – przez Łazienki do Placu na Rozdrożu, w towarzystwie miłych koleżanek. Trwało to ok. trzech tygodni. Mój Tata jednak czujnie kontrolował moje postępy. Dobre wyniki też były źle odbierane. Zdaniem ojca wynikały nie z moich postępów tylko słabego poziomu szkoły. Niepokoił ojca również dystans, jaki mia-

łem codziennie do przejścia. Koniec końców Tata postanowił przenieść mnie do Gottwalda.

Nie wiem, jakie padały argumenty w rozmowie z dyrektorem Wojciechowskim, ale do liceum Gottwalda zostałem przyjęty.

Liceum Gottwalda, 1954-58

Szkoła Gottwalda robiła wówczas dobre wrażenie. Solidny budynek, duże klasy, szerokie korytarze. Do klasy zostałem wprowadzony przez Wojtkę Walczaka. Szybko zacząłem integrować się z kolegami. Sprawę nieco utrudniała olbrzymia liczba uczniów. Klasa miała dużą powierzchnię, ale na liście w dzienniku figurowało już 40 nazwisk. Ja zostałem dopisany z numerem 41. Nie było dla mnie wolnego miejsca na stałe i dlatego początkowo siadałem na miejscu akurat wolnym. Pamiętam jak jedna z koleżanek po cichu protestowała, kiedy koło niej usiadłem. Kto to był, nie pamiętam. Przypuszczam, że ta koleżanka wkrótce przeniosła się do innej szkoły lub klasy łacińskiej.

Pierwsze wrażenia dość mieszane. Klasa była w większości męska. Koleżanki w środkowym rzędzie ławek, a chłopcy po bokach. Istniał pewien dystans między nami, ale koleżanki były otoczone naszą należytą atencją.

Nauczyciele

Pierwszą lekcją, w której miałem przyjemność uczestniczyć w szkole Got-twalda była gimnastyka. Poznałem wówczas prof. **Konrada Paradowskiego**. Szalenie miły człowiek, bezbłędnie wykrywał zdolności uczniów. U mnie natomiast stwierdził predyspozycje do siatkówki, natomiast wkrótce też proponował mi treningi w sekcji koszykówki w Polonii Warszawy. Grały tam wówczas takie sławy jak Wichowski, Zagórski a juniorów trenował słynny Wawro. Nie zgodziłem się. Byłem wojennym dzieckiem. Nie wierzyłem, że mogę przekroczyć przynajmniej 190 cm wzrostu. Mój Tata miał 185 cm, a ja rzeczywiście osiągnąłem tylko 180 cm. Chyba miałem rację. W wieku już dojrzałym grałem w koszykówkę w wielu prywatnych turniejach, w których występowali dwumetrowcy. Laikom trudno wyobrazić sobie, jak ciężko jest walczyć z człowiekiem, który jest zdecydowanie wyższy i waży 20-30 kg więcej.

Spod ręki profesora wyszedł nasz mistrz w gimnastyce Krzysiu Piętaś. Wiem, że gimnastykę trenował również Tomasz Kozłowski i Janek Dodacki z klasy C o rok wyżej. O naszym profesorze mówiliśmy Konrad. Uczył nas tylko rok, w ósmej klasie.

Później przejął nas prof. **Józef Ciszewski**. Moja ciotka, nauczycielka wf zetknęła się z nim na AWF. Miał ksywkę Kuba, studiował AWF z żoną, z którą sta-

nowili przykładną parę. [Z Wikipedii:] ur. 12 stycznia 1904 w Krakowie, zm. 2 maja 1987 w Warszawie – piłkarz (napastnik) w kilku polskich klubach, 14-krotny reprezentant Polski (3 gole dla reprezentacji). Karierę rozpoczął w Cracovii w 1920. Później grał w warszawskiej Legii i Polonii. W drużynie Legii w latach 1927-1930 był czołowym strzelcem, ze skutecznością ponad 0,5 bramki na mecz. Na początku lat 30-tych powrócił do Cracovii, z którą w 1932. zdobył mistrzostwo kraju.

Był fajnym człowiekiem, na wskroś uczciwym, i miał zacięcie austriackiego urzędnika. Często po wufie nie chciał mi się zdejmować kostiumu sportowego. Zakładałem ciuchy na strój sportowy. Za to pan profesor uznawał, że ćwiczyłem bez kostiumu i lekką ręką obniżał mi stopień z wf. Formalnie miał rację, ale racja byłaby większa gdyby zmianie kostiumu mogła towarzyszyć kąpiel. Tymczasem prysznic w szatni były uszkodzone. W sumie ogólny syf. Nie wiem, skąd Selim tak optymistyczne informacje znalazł o wyposażeniu szatni przy sali gimnastycznej. Może tak miało być na początku, ale to nie działało. A zatem profesor obniżał mi stopień z wf, chociaż grałem w reprezentacji szkoły w trzech grach zespołowych.

W klasie ósmej zostałem zaproszony do gry w reprezentacji w piłce nożnej. Początki nie były najlepsze. Grałem jako napastnik, a byłem jeszcze słaby fizycznie. Profesor wkrótce przesunął mnie na

środek pola, co było dobrym ruchem i dało bardzo dobre wyniki.

Lekcje gimnastyki w jakiejś części były śmiertelnie nudne. Pewnie z kuratorium przyszło zalecenie, aby ćwiczyć gimnastykę szwedzką. Gimnastyka szwedzka ma mniej więcej taki polot jak football norweski. Konrad pewnie by to olał. Natomiast nasz profesor, jak typowy urzędnik, wyciągał ściągawki, które wyglądały jak przegląd pozycji seksualnych i wałkowaliśmy jakieś idiotyczne ruchy ramion i nóg, co wydawało mi się kompletną stratą czasu. Ale inne zajęcia były w porządku.

Profesor Ciszewski prowadził dodatkowe zajęcia sportowe. Głównie treningi piłki nożnej. Chodziliśmy na te dodatkowe zajęcia z przyjemnością z Wojtkiem Walczakiem, Jurkiem Podoleckim, Zbyszekiem Sobieckim, Karolem Alsterem. Profesor zakupił piłki dwukrotnie większe od piłek... tenisowych. Tymi piłkami trenowaliśmy. Cel był prosty. Jeśli dobrze opanujesz technikę przy tak małej piłce, to z dużą nie będzie problemu. Skutek takich treningów był bardzo dobry. Taktycznie natomiast uczył nas prostej zasady. W czasie gry pozbądź się piłki jak najszybciej. Niech dalej martwi się kolega.

W roku 1955 w mistrzostwach szkół warszawskich w piłce nożnej szło nam kiepsko. Raczej przegrywaliśmy. Graliśmy kolejny mecz na Agricoli. Profesorowi wypadło chyba zebranie w kurato-

rium i nie mógł przyjść na mecz. Zostaliśmy sami pod wodzą naszego kapitana drużyny z klasy dziesiątej Czarka Skoczka. Postanowiliśmy co nieco się wzmocnić. Koło naszej szkoły kręcił się i nam kibicował niejaki Stasiek Kamiński, wówczas już zawodnik juniorów Polonii Warszawa. Chociaż Stasiek nie był uczniem naszej szkoły, daliśmy mu szansę występu. Posunięcie było udane. Pięć minut przed końcem prowadziliśmy 4:1. I wówczas stało się najgorsze. Z zebrania wrócił profesor i z daleka krzyczał do sędziego: zatrzymać ten mecz! Sędzia nie wiedział, co się dzieje, ale mecz zatrzymał. Udawaliśmy głupków, wbijając profesorowi ciemnotę, że Stasiek to nasz nowy talent z ósmej klasy. Ale to kłamstwo miało krótkie nogi. Tutaj wyszedł niezłomny charakter profesora; wołał przegrać, niż postąpić niegodnie. Na pewno w naszych oczach wiele zyskał. Wynik ostateczny: walkower dla przeciwnika, Czarek odwołany z funkcji kapitana, a ja zostałem nowym kapitanem.

Profesor Ciszewski zawsze umiał utrzymać w stosunku do nas właściwy dystans, nie reagował, jak opowiadaliśmy świńskie dowcipy. Był powszechnie lubiany.

Gimnastykę dziewcząt prowadziła pani **Papierska**, która studiowała na AWF również z moją ciotką.

Matematyki w ósmej klasie uczył pan dyrektor **Wojciechowski**. Był człowiekiem eleganckim, zawsze w garnitu-

rze; lekcje prowadził spokojnie, co nieraz utrudniało nam zakończenie dowodów matematycznych w ramach lekcji. Na lekcjach pojawiał się z dużym cyrklem, ekierką i chyba kątomierzem. W momencie, kiedy się zastanawiał, stał w charakterystycznej pozie podpierając się pod boki zewnętrzną częścią dłoni, aby nie ubrudzić kredą garnitur. Nowe twierdzenia udowadniał przy pomocy uczniów przy tablicy, z czym niektórzy koledzy i koleżanki mieli kłopot. Ja sobie z tym radziłem swobodnie, chociaż – strzeżonego Pan Bóg strzeże – zajrzałem nieraz do następnego tematu w książce, aby wiedzieć, jakiego to Talesa będziemy dziś mordować.

W następnych klasach matematykę prowadziła pani profesor **Kaczmarczykowa**. Była dobrą nauczycielką, wymagającą, o dużej wiedzy, dobrej prezencji i trzeba było troszkę przysiąść fałdów, aby uzyskać zadowalające wyniki. Pani była niewysoka, a może tylko czuła się osobą niskiego wzrostu. Opowiadała nam, jak na zabawie szkolnej siedziała w rzędzie, jako ostatnia z ośmioma koleżankami. Zagrano poloneza. Pojawił się kawaler, który po kolei prosił koleżanki do tańca. Wszystkie mu odmawiały. Ostatnia chciała zatańczyć, tyle że kawaler już jej nie poprosił.

Naszym wychowawcą był prof. **Zdzisław Marek**. Uczył historii, jeśli to co wyprawiał można nazwać nauczaniem. Wykładał w trybie dwustanowym. Najpierw na głos czytał siedząc przy biurku

fragment z książki do historii, po czym wstawał i przed klasą, na stojąco dodawał swój komentarz. Komentarz był zgodny z aktualną dyrektywą. Po czym znów następował fragment czytany i komentarz mówiony. W sumie dno. Z mojego punktu widzenia kolejny raz, podobnie jak w podstawówce, trafiłem na nauczanie historii, które mnie kompletnie zniechęciło do tego przedmiotu. Zdarzało mi się nawet łapać z historii dwóje. Uczulenie w stosunku do tego przedmiotu zniknęło dopiero, kiedy sam zacząłem studiować odpowiednie dzieła, np. Normana Daviesa – *Boże Igrzysko, Historię Polski*.

Pomijając nauczanie, to prof. Marka lubiliśmy. Był dobrym człowiekiem. Raczej nas bronił przed dyrekcją, starał się z nami żyć w przyjaźni. Na wycieczkach i zabawach przymykał oko na wypite wino. Bardzo chętnie zapraszaliśmy go na rozmaite imprezy klasowe.

Polubiłem Marka za jedno zdarzenie, które mnie bezpośrednio nie dotyczyło. W systemie odpytywania stosował system siódmkowy. Zauważyłem powtarzające się sekwencje nazwisk uczniów wywołanych do odpowiedzi wg klucza numerów porządkowych n , $n+7$, $n+14$ itd. Ja np. zwykle odpowiadałem razem z Marysią F. Dopóki nie wstawił stopni wszystkim uczniom nikogo drugi raz do odpowiedzi nie wywoływał. Pewnego razu odpowiadała Bożena G. Była przygotowana śpiewając i otrzymała 5. Na następnej lekcji Markowi obsunęła się ręka i po raz kolejny wywołał Bożenę, ku jej wiel-

kiemu zdumieniu. Tym razem Bożena nie wiedziała prawie nic i Marek wszystko referował sam. Gdybym ja tak odpowiadał, dwójka byłaby murowana. Tymczasem Marek z lekkim uśmiechem powiedział: siadaj panna, dzisiaj słabiej, czwórka z dwoma minusami. Zawsze lubiłem gości szarmanckich wobec kobiet.

Z Markiem nigdy się nie zaprzyjaźniłem. Z prostego powodu: Marek nie mógł mnie zapamiętać i stale mylił mnie z Jurkiem Podoleckim. Bardzo często patrząc na mnie, wywoływał mnie do odpowiedzi nazwiskiem Jurka. Siłą rzeczy do odpowiedzi wstawał Jurek i przez to był z historii gnębiony częściej. Ja z tego świetnie korzystałem. Ostatnią kosmiczną pomyłką było pomylenie naszych zdjęć w dokumentach wysyłanych na Politechnikę Warszawską. W ten sposób pierwszą legitymację studencką otrzymałem ze zdjęciem Jureczka.

Czas na język polski. W ósmej klasie uczyła nas pani **Gajewska**. Była długoletnią nauczycielką, niezwykle sumienną. Chyba wybierała się na emeryturę. Pamiętam egzamin z polskiego do klasy dziewiątej. Tradycyjnie byłem nieprzygotowany. Trułem coś na temat pozytywizmu, pracy od podstaw, a pani profesor otwierała szeroko oczy. Ciężko to przeżywałem, chociaż skutek końcowy był dobry.

W klasie dziewiątej zajęła się nami pani **G.**, o której już wspominałem w opisie szkoły podstawowej. Liceum Gottwal-

da słynęło z doskonałych nauczycielek języka polskiego i utrzymywania wysokiego standardu nauczania. Pani G. w żadnej mierze nie trzymała takiego poziomu. Była osobą z awansu społecznego, źle przygotowaną do zawodu, popełniającą poważne błędy językowe. Miałem z nią wieczne scysje z powodu mojego zachowania (rozmowy na lekcji), co w końcu roku zaowocowało obniżeniem stopnia z języka polskiego z czwórki na trójkę. W dzienniku miałem same czwórki a pani mi oznajmiła: no sam wiesz, że nie zasługujesz na więcej niż trzy. Taka była ocena nie moich osiągnięć, a raczej wzajemnej niechęci. Pani była potwierdzeniem słów Sienkiewicza, ale Kubu, który śpiewał:

Jestem z miasta, to widać,
Jestem z miasta, to słyhać,
Jestem z miasta, to widać, słyhać
i czuć...

W klasie dziesiątej zajęła się nami prawdziwa gwiazda, pani **Hanna Gośiewska**. W naszych rozmowach określana była prosto: Hania. Była perfekcjonistką, wspaniale znającą materiał i cudownie operującą językiem polskim. Prowadziła bardzo ciekawe lekcje. Klasę spacyfikowała absolutnie. W czasie wykładu była cisza. Każdy uczeń skrzętnie notował, gdyż pisanie notatek z lekcji było obowiązkowe. Bardzo szybko okazało się, że klasa, za wyjątkiem paru osób, ma poważne braki w języku polskim. Klasówki, notatki i pisanie na zadany temat miały poprawić naszą ignorancję w języku

polskim. Na początku dziesiątej klasy wszelkie moje sprawdziany wypadały w granicach stanów średnich. Katastrofa nastąpiła pod koniec drugiego okresu. Jednego dnia otrzymałem trzy dwójki z polskiego: z klasówki za złe ujęcie tematu, z notatki za fatalny styl oraz z odpowiedzi za poważne błędy językowe. Tutaj konieczna jest mała dygresja. Wielu błędów językowych raczej nie robiłem, chociaż zdarzało mi się użyć zwrotu "rozumia" zamiast "rozumieją". Szczególnie w stanie zmęczenia lub zdenerwowania. Tego feralnego dnia język polski był na drugiej lekcji po lekcji wf. Na lekcji polskiego poczułem się słabo. Akurat na wuefie dość ostro pograliśmy w piłkę, co jeszcze by mnie nie osłabiło, ale mój organizm zaczął reagować na skonsumowane śniadanie. Galicyjskie tradycje wyniesione z domu mojej mamy nakazywały karmić mnie rano posłodzoną zupą mleczną. Po wysiłku na wuefie śniadanie zaczęło mi fermentować i kompletnie zaburzyło moją zdolność koncentracji. Do odpowiedzi byłem przygotowany, jednak bardzo szybko dwa razy powiedziałem "rozumia". Zostałem przez Hanię uprzedzony: jeszcze raz tak powiesz i będzie dwójka. I tak się stało.

Zdarzenie miało dla mnie wiele znaczeń. Na półroczu dwójka z polskiego, co spowodowało moją intensywną pracę nad językiem. Mój Tata, który pisywał pogadanki dla Polskiego Radia na temat problemów odbioru radiowego i mówił ładną polszczyzną, bardzo uważnie zaczął

kontrolować moje prace, korygował styl, co pozwoliło mi zlikwidować dwóję z polskiego i zdać maturę za pierwszym razem.

W sprawach żywieniowych zrezygnowałem z mleka na śniadanie i przez to znacznie poprawiłem swoją sprawność umysłową już od rana. Grubo później w okresie częstych wyjazdów zagranicznych z przyjemnością zamawiałem śniadania angielskie – jaja na bekonie, fasolka w sosie pomidorowym. Mleka do ust nie biorę, szczególnie po przeczytaniu artykułów o dobrej przyswajalności mleka tylko przez oseski. Dla miłośników napojów mlecznych od rana polecam: szampan z rana – jak śmietana!

Z nauki języka polskiego przypominam sobie zdarzenie opisane przez Selima. Na pytanie pani: co jeszcze napisała Konopnicka, Selim wymienił tytuł "Pan Balcer w Brazylii". Przynajmniej ja tak usłyszałem i tak usłyszała Hania. Ja siedziałem z przodu, a Selim na końcu i nie widziałem, co tam z tyłu się dzieje. To był już koniec odpowiedzi. Selim usiadł i dostał dobry stopień. Koledzy się roześmiali, a ja sobie pomyślałem – co za cholerny kujon. Bo mnie do lektury za bardzo wówczas nie ciągnęło. Ale skąd ten śmiech? Selim odpowiedzi na pytanie nie znał. Podpowiedzieli mu koledzy. Selim zrozumiał "Pan Marcel w Brazylii" i tak powiedział. Hania usłyszała jednak prawidłowo. Dziś mogę tylko Selima przeprosić, że tak go źle oceniłem.

Z innych zdarzeń związanych z językiem polskim pamiętam opracowanie Marka G. na temat "Granicy" Nałkowskiej. Problem granicy występuje w powieści wszędzie, włącznie z pojawiającym się psem łańcuchowym, który ma ograniczone pole działania. Marek, w nawiązaniu do powieści, zajął się przede wszystkim sprawami najważniejszymi, czyli rolą kobiety w życiu społecznym i tym, co powinna robić, a czego jej nie wypada. Było to napisane nawet zgrabnym językiem. Wymowa była jednak tak antyfeministyczna, że policzki Hani w miarę czytania przechodziły metamorfozę od lekkiej czerwieni, poprzez purpurę do głębokiego fioletu. Wynik w połowie pracy już był wiadomy. Oczywiście dwója i wezwanie rodziców na rozmowę. Nie mogę całego zdarzenia spointować, bo nie wiem, jaki był koniec. Z pełną świadomością mogę jednak przypomnieć feministyczne poglądy naszej Hani, co wówczas nie było jeszcze zbyt częste.

Język francuski prowadziła pani **Janicka**. Przyjęła styl pracy rzetelnej guwernantki. Dobrze się w tym czułem, gdyż wszystkie regułki gramatyczne miałem wcześniej opanowane, jeszcze z czasów prywatnej nauki. Wadą niewątpliwie były książki do francuskiego, narzucone przez kuratorium, związane głównie z rzeczywistością komunistyczną, czyli zawierające słownictwo dotyczące fabryki, spółdzielni produkcyjnej i pochodzącego z Paryżu zdziwiłem się jak pięknie można

spytać o towary do ocenia. Żadnych scenek rodzajowych również nie przerabialiśmy.

Podobnie w języku rosyjskim prowadzonym przez panią **Suchodołową** w dziewiątej klasie. Z panią Suchodołową skłóciliśmy się na dzień dobry. Byliśmy już bardzo wyrośnięci a posadzono nas w klasie, w której były małe ławki. Siedząc byliśmy trochę przykurczeni. Człowiek nie jest w stanie utrzymać zgiętych nóg bez ruchu, w niewygodnej pozycji przez całą lekcję. A zatem często nogi prostowaliśmy, co rzeczywiście powodowało olbrzymi szum podczas pocierania kapci o podłogę. Pani miała nadwrażliwy słuch (kilkakrotnie w życiu spotkałem takie osoby, szczególnie akustyków) i dlatego miała do nas o to wieczne pretensje. Konflikt trwał aż do wyposażenia klasy w stoliki o odpowiedniej wysokości. Ja na tym konflikcie początkowo traciłem: dostałem dwóję na okres. Jakoś nie mogłem wczuć się w język rosyjski. Postanowiłem najpierw ostro zabrać się za gramatykę. Z dobrym skutkiem. Nawet poprawiłem się na czwórkę. Później coraz lepiej opanowywałem teksty. Ale tak naprawdę rosyjskiego nauczyłem się na trzecim roku Politechniki Warszawskiej z panią, która miała płyty ze scenkami rodzajowymi. Nauka była na tyle skuteczna, że swobodnie operowałem rosyjskim podczas licznych wyjazdów nie tylko na wschód, ale również do zaprzyjaźnionych krajów RWPG, gdzie rosyjski był obowiązkowy. Pamiętam, jak wiele lat później podczas

zakupów na lotnisku w Amsterdamie, pomagałem Rosjankom po rosyjsku w doborze perfum i raptem ogłoszono boarding samolotu do Moskwy. Kobitki wzięły mnie za Rosjanina i powiedziały: zbieraj się, bo się spóźnisz na samolot. Nie chciały uwierzyć, że nie jestem ruskiem.

Pani Suchodołowa ze względu na urlop macierzyński uczyła nas tylko przez rok. Później pojawił się pan **Lewandowski**, człowiek wiekowy, chyba już emeryt, który nie był w stanie czegokolwiek nauczyć rozbrykaną klasę. Zasada była prosta: krzywdy sobie nie robiliśmy. Pan siedział przez całą lekcję przy stole, skąd podawał nam mrożące krew w żyłach reguły językowe, a klasa niby skrzętnie rejestrowała to w swoich zeszytach. Pan Lewandowski raczej nie sprawdzał, co rzeczywiście robimy i tak to szło. W planie lekcji w czwartki mieliśmy tylko trzy lekcje, przy czym rosyjski był lekcją ostatnią. Tak się dobrze składało, że przy dużym pośpiechu i sprawnym dobiegnięciu do tramwaju zdążaliśmy tego dnia, po lekcjach na najbliższy seans do kina Moskwa. Najważniejszą sprawą było skończyć dokszałt* równo z dzwonkiem i wybiec do szatni. Aby odnieść sukces trzeba było wcześniej się spakować i udawać, że się coś robi. Aliści pewnego czwartku, pod koniec lekcji, pan L. zauważył, że Jurek

Podolecki, który wówczas siedział ze mną w ławce nie robi notatek. Pan L. uniósł się znad stolika i między nim a Jurkiem odbył się taki dialog:

- Czemu nie robisz notatek?
- A właśnie że robię.
- To mi pokaż.

Na to Jurek schylił się pod ławkę i podał panu profesorowi kompletnie zatłuszczony papier śniadaniowy.

- Ale tutaj nic nie widać, mówi pan L.
- Nic nie widać, bo mi się notatnik trochę zatłuścił.

Klasa ryknęła śmiechem, a jednocześnie dzwonek zadzwonił i w efekcie żadnej afery nie było.

Chemii uczyła nas pani Irena **Piekut-Krawczyk**. Za naszych czasów została wicedyrektorką szkoły. Pani była sympatyczna, dość ostra, ale sprawiedliwa, miała dużą wiedzę. Mnie się wydawało, że zawsze lekko się uśmiecha, co często było mylące. Jak człowiek coś zbroił, to zawsze musiał odpokutować. Przedmioty ścisłe były dla mnie łatwe. Nawet chemii uczyłem się szybko, chociaż nigdy tego przedmiotu nie czułem. Wymyśliłem szemelek klasówkowy pozwalający na zaliczanie klasówek, co prawda na trójczyny, ale bez wysiłku. Każdy związek chemiczny, metal czy nie-metal (są wyjątki) zawsze z czymś się łączy i zawsze coś tam powstaje. Ja na każdej klasówce coś tam modziłem, a że do wartościowości miałem dobrą pamięć, to i skutek był najlepszy. Chemii organicznej to już niestety trochę się uczyłem.

Motto (Jaroslav Hašek – "Przygody dobrego wojaka Szwejka"): "Podporucznik Dub zaciśnął zęby i postanowił czuwać, uważając, że już od niego tylko zależy zabezpieczenie rozkładającej się dyscypliny batalionu".

Tak od początku odbierałem wyuczyny pana **Markowskiego**, specja od przysposobienia wojskowego, który moim zdaniem szkołę traktował jak oddział wojskowy. Być może takie wrażenie powodował wzrok bazyliuszka, przed którym nic się nie ukryje. Pan pojawił się chyba w dziewiątej klasie. Miał zamiar wprowadzić dyscyplinę. Wówczas byłem na etapie czytania Szwejka i dlatego skojarzył mi się z inspektorem, który nie dopuszczał myśli, że muchy obsrywały portret Najjaśniejszego Pana, czy też wojskowymi, jak podporucznik Dub czy oberfeldkurat Otto Katz, obsesyjnie dyscyplinujący żołnierzy. Wojsko na tym etapie śmieszyło mnie zawsze, a szczególnie system dochowywania tajemnicy wojskowej. Wprowadzono u nas zeszyty, które zszywano podając na przywieszce liczbę stron. Zeszyty były w kratkę i w szkole dobrze się nadawały do gry w okręty. Tajemnice wojskowe, które ewentualnie nam podawano, to były bzdety powszechnie znane. Nawet na studiach schematy radiostacji wojskowych, u nas objęte tajemnicą wojskową, miały przedruki w radzieckim Pionierze. W zasadzie nauka wojskowości wisiała mi kompletnie. Już w szkole zauważyłem, że wbija się nam w głowę np. nazwy gazów bojowych, zamiast uczyć ochrony przed nimi przy pomocy działającego sprzętu. Jaki gaz wypali człowiekowi

* To słowo pojawiło się w programie 60 min./godz. w PR III, u Andrzeja Fedorowicza (nie Jacka), jako lekceważące określenie nauczania – na ogół w czasie kursów, których uczestnikami byli kursanty.

oczy, jest raczej dla poszkodowanego obojętne. Istotne jest zapobieganie nie-szczęściu. Przedmiot uważałem za kompletnie nieprzydatny. Informacje z terenoznawstwa, którymi nas karmiono, miałem w formie skondensowanej w przedwojennym sprawoczniku.

O tym przedmiocie może bym nawet nie wspomniał, gdyby nie zdarzenie, które niechcący spowodowałem. Pod koniec września, chyba w dziewiątej klasie, w szkole była organizowana wycieczka do Wilanowa. Pan M. na pytanie, czy jedzie, odpowiedział krótko: nie, bo nie mam roweru. Ktoś doradził wypożyczenie roweru, ktoś inny dojazd kolejką, a ja krzyknąłem: a może na hulajnodze! Po krótkim momencie ciszy, klasa ryknęła śmiechem. Wojtek Walczak, z którym wówczas siedziałem, dostał ze śmiechu spazmów. O ile początkowy lekki śmiech klasy był dla pana M. do strawienia, to już rechot Wojtka naruszał majestat. Pan, ze znanym spojrzeniem bazyliuszka, patrząc cały czas na Wojtka, ruszył w jego kierunku od strony, gdzie ja siedziałem. Już sprawcę obrazy miał na widelcu. Patrząc na Wojtka rozkazał: może sprawca dowcipu wstanie. Wówczas ja wstałem i klasa ryknęła śmiechem po raz drugi. Pan został zbity z pantafelku. Na Wojtka coś sobie przygotował, natomiast na mnie już nie. Wycedził przez złote zęby: masz złą postawę. I tak się rozstaliśmy, gdyż nie przypominam sobie, aby o cokolwiek mnie później pytał.

Idiotyzmy w nauce wojskowości trwały w najlepsze. Któregoś dnia na chodniku przed szkołą pan M. postanowił zrobić musztrę z którąś ze starszych klas. Musztra dla żołnierza rzecz ważna; czapka wojskowa obowiązkowa. Była wiosna. Chłopcy wyszli na ćwiczenia z gołymi głowami. Pan jednak kazał im zaopatrzyć się w nakrycia głowy. Chłopcy wrócili do szatni, otworzyli drzwi do boksów dla pierwszoklasistów, pozabierali z wieszaków co się dało i ukazali się z czapkami uszankami na czubku głowy. Mimo woli byłem świadkiem kompletnej clownady właśnie na zajęciach z wojska.

Fizyki nauczał pan **Zawalij**. Stwarzał wrażenie byłego wojskowego – zawsze energiczny, sprężysty, uśmiechnięty. Mimo prowadzenia trudnego przedmiotu nikomu nie zrobił krzywdy. Kolejne tematy wykladał ściśle wg książki, tak jakby bał się odejść od instrukcji, i tak też odpytywał. Stąd zajęcia z fizyki były nudnawe. Podobno w starszych klasach byli pasjonaci fizyki, którzy często go zaginali. Być może obraz pana **Z.** jest zbyt idylliczny, może kogoś trochę gnębił. Pamiętam jednak wesołą reakcję profesora na zasady fizyki opracowane przez klasę, której wówczas był wychowawcą: ciało zanurzone przy brzegu traci ubranie na brzegu – i tak to wówczas odbierałem.

Geografia była domeną pani **Sulikowskiej**. Pani była wychowawczynią równoległej klasy niemieckiej. Zajęcia prowadziła na luzie, w miarę interesująco, chociaż np. geografia gospodarcza

mnie wówczas nie interesowała. Na świadectwie maturalnym mam z geografii czwórkę. Raz pani zaskoczyła nas kompletnie, kiedy w czasie wojny o Kanał Sueski w 1956., zmieniła cały tok nauczania. Przyniosła mapkę Izraela i wałkowaliśmy ten kraj poza programem.

Na koniec pozostawiam lekcje biologii. Gdyby ktoś mnie spytał, co tam robiłeś, przysięgał bym przed sądem, że takich lekcji nie było. Po prostu nic z tego nie pamiętam.

Ogólnie szkoła robiła solidne wrażenie. Poziom nauczania był niezły. Mapka Izraela na geografii nie pojawiła się chyba przypadkowo, bo jednak w klasach z językiem niemieckim było dużo promienckich dzieci, które wkrótce wyemigrowały z Polski. Codzienne zajęcia rozpoczynały się apelem, który mnie osobiście bardzo denerwował. Do momentu, kiedy wśród spraw bieżących podano skład reprezentacji szkoły na najbliższy mecz piłkarski i padło moje nazwisko. Stojący akurat obok mnie pan dyrektor Wojciechowski powiedział: Klimaszewski – gratuluję.

Jestem zwolennikiem swobody w stroju, zachowaniu, również w poglądach. Tym bardziej do szału doprowadzały mnie uwagi nauczycielek, które nawet lubilem, ale które zarzucały koleżankom pomalowane paznokcie, zbyt awangardową fryzurę, czy też zbyt modny strój.

50 lat później rozmawiałem o tym z Iwoną B. Powiedziała, że w ogóle nie

pamięta sprawy. Chyba tylko ja byłem na ten temat uczulony.

Była jeszcze jedna pani nauczycielka (nazwiska nie pamiętam), która usiłowała nauczyć nas rysowania i malowania. Pani była artystką malarką, z uduchowionym podejściem do życia, kompletnie nie pasującą do wychowywania rozbrykanej młodzieży. Generalnie lekcje rysunku uważałem za marnowanie czasu. Jak komuś bozia poskąpiła talentu, to żadne lekcje nie pomogą. Z lekcji rysunku jedynie wyniosłem, jak przy linii zobrazować ulicę w perspektywie. W pamięci utkwiły mi tylko lekcje, kiedy Teresa D. była sadzana jako modelka dla malowania żywej natury. W późniejszych latach często byłem zapraszany na wernisaże, gdzie miałem okazję poznać artystów malarzy, którzy żyli w podobnym nierealnym świecie. Być może zdolności artystyczne zaciemniają obraz realnego życia.

W trakcie czteroletniego pobytu w liceum oczywiście zadzierzgnięto wiele przyjaźni. Ja na początku byłem zafascynowany **Teresą D.** ... i tak już pozostało. Spotykaliśmy się na zabawach szkolnych i prywatkach, gdzie była okazja potrenować raczkujący w Polsce rock and roll. Zdarzały się nawet prywatki wyjazdowe u Janka W. w Gołąbkach i Ewy M. we Włochach. Teresa robiła wrażenie osoby mocno zaangażowanej w życie kulturalne stolicy, a szczególnie w piątkowe koncerty w Filharmonii czy też wystawy i werni-

saże. Niewątpliwie dość dużo czytała, ale raczej znane dzieła z lektur pozaszkolnych.

Bardzo mile wspominam imprezę, która miała miejsce kilka lat po maturze w Czachówku pod Warszawą – nawet nie pamiętam u kogo. Była obfitość jedzenia, alkoholu, tańców i wspomnień szkolnych, oczywiście z udziałem pana Marka.

Z okresu szkolnego utkwiły mi w pamięci zabawy u Iwony B. Tańczyliśmy przy patefonie nakręcanym specjalną korbą, w proporcjach mniej więcej 30 s kręcenia na 6 min. tańca. Był z tym pewien kłopot, bo każdy wołał tańczyć niż kręcić. Napuszczaliśmy Tadzia, który nabrał wprawy i krócej kręcił, a dłużej tańczył. Nie wiem czemu utkwił mi w pamięci tytuł ulubionej płyty Iwony "Joy, Joy". Bardzo często w prywatkach naszej klasy uczestniczyła Matylda O. z klasy łącińskiej.

Dwadzieścia lat później, w 1978 r., w Moskwie, Polska oraz inne kraje europejskie (nie tylko demoludy) prezentowały osiągnięcia przemysłu elektronicznego. Wystawa miała miejsce w Parku Sokolniki, gdzie rozrzucone były pawilony poszczególnych wystawców. Polski pawilon, idąc od metra, był za pawilonem wówczas czeskosłowackim. Aby dotrzeć na miejsce murowane było przejście ok. kilometra. Gdy pierwszy raz tak szedłem i byłem w pobliżu pawilonu czeskiego, zauważyłem urodziwą kobietę, myślałem – czesz-

kę, która siedziała na ławce i się do mnie uśmiechała. Ja też zacząłem się uśmiechać, raczej kurtuazyjnie. Podszedłem bliżej i ogarniało mnie coraz większe zdumienie. Na ławce siedziała Teresa D. Mieszkaliśmy chyba w tym samym hotelu (Rossija) i oczywiście na wieczór zaplanowaliśmy wyskok wieczorem do jakiegoś lokalu. Teresa była w Moskwie projektantem wystroju plastycznego stoisk pawilonu. Wystawa rozpoczynała się następnego dnia i Teresa już wyjeżdżała, natomiast ja zaczynałem swój pobyt. Teresa miała niezwykle powodzenie. Wieczorem kilkakrotnie zaczepiali nas Polacy z kierownictwa wystawy i gratulowali mi spotkania z Teresą. Szukaliśmy jakiejś intymnej kawiarni. Ale ówczesna Moskwa nie miała zbyt wielu lokali. Ostatecznie wylądowaliśmy na przyczepkę przy wieloosobowym stoliku moich znajomych w hotelu Rossija. Pogadać, to pogadaliśmy, ale o żadnej intymności nie mogło być mowy.

W szkole prześladowały mnie dwie traumy. Pierwsza to chroniczny brak pieniędzy. Mój Tata był zawsze dyrektorem w PR, dobrze zarabiał, ale dawał mi jakieś małe kwoty pieniędzy. Być może była tu moja wina i sam nie potrafiłem odpowiednio poprosić ani ustalić sensownych wydatków. Stąd niechętnie chodziłem do kawiarni, gdzie trzeba było płacić. Moja determinacja w zdobyciu pieniędzy osiągnęła szczyt po maturze, kiedy miałem zapisać się na kursy przygotowawcze na wyż-

sze studia. Kursy kosztowały około 2 tysięcy złotych. Wziąłem od Rodziców pieniądze, poszedłem na pierwsze zajęcia i zorientowałem, że trują to samo, co w szkole i co mam już opanowane. Szczęśliwie nie było tego dnia kasjera. Doszedłem do prostego wniosku: albo umiem i nie potrzebuję pomocy, albo nie umiem i do niczego się nie nadaję. Zaryzykowałem – z kursów zrezygnowałem, na studia się dostałem, a pieniądze zaoszczędziłem.

Druga trauma to narzucony przez moją mamę styl mojego ubierania, nie w garniturze albo marynarce, tylko w sweterek lub wiatrówkę. Pierwszy garnitur miałem dostać dopiero do matury. Nie wspominam tutaj pierwszej komunii, gdzie wszyscy chłopcy wystąpili w ciemnych garniturach, a ja jedyny w białym stroju marynarskim i w krótkich spodniach. Myślałem, że ze wstydu się spalę. Kiedyś w programie III PR Wojciech Mann opowiedział swoją, prawie identyczną historię, zakończoną jeszcze gorzej. Otóż znalazł się ze swoją mamą w sklepie, do którego weszła słynna Hanka Bielicka i powiedziała: wyglądasz jak marynarz słodkich wód. Podobno zaczerwienił się po uszy.

Również kompletnie nie pamiętam studniówki. Nie mając garnituru pewnie imprezę zaszczyciłem pod koniec zabawy.

Ale cóż, każdy ma prawo do własnego stylu. W szkole to mi nie przeszkadzało. W szkole, tzn. w Gottwaldzie. Aliści

zdarzyło mi się wraz z kolegami otrzymać od byłych koleżanek z podstawówki zaproszenie na bal do szkoły Słowackiego. Poszedłem ubrany w dość jaskrawą, amerykańską koszulę w kratę, brązowe spodnie, porządne buty. Śmiało oddałem kurtkę do szatni, wszedłem na salę tańeczną, a tam pani o wnikliwym spojrzeniu karpia po siódmym uderzeniu, zapytała mnie jak śmiałem tak się ubrać. Myślałem, że może jestem bez spodni. Pani nie spodobał się brak marynarki i doradziła: zejdź do szatni, załóż marynarkę i możesz wracać na salę. Nie przyjmowała żadnego tłumaczenia. Strasznie się zdenerwowałem. Musiałem opuścić salę. Stałem przy wejściu, zastanawiałem się co robić, wysłuchiwałem rad kolegów w stylu – a może będziesz tańczył w kurtce zimowej itp. Dobił mnie wspomniany już pierwszy wesołek Czarek Skoczek, który zjawił się na zabawie z "Alim" Turcewiczem ze starszej klasy i powiedział: co ty, Klimczak, szerzysz kulturę imperialistyczną. Ostatecznie koleżanki stanęły na wysokości zadania, wzięły panią Cerber chyba na litość i na salę zostałem wpuszczony. Humoru już niestety nie miałem. Z drugiej strony, jak po latach oceniam sytuację, to szkoła Słowackiego miała pewne tradycje, zapraszano na zabawy uczniów ze szkoły kadetów w eleganckich mundurach i uczeń w koszuli, czyli ja, stanowił na zabawie pewien dysonans. Trzeba było jednak o tym powiadomić uczestników. Zabawa stanowiła w pewnym sensie pożegnanie z koleżankami, które wyjechały wkrótce do Izraela, na-

tomiast ja przyrzekłem sobie, że nigdy na zabawę do Słowackiego już nie pójde. Znane jest powiedzenie wśród polityków: nigdy nie mów nigdy. Dotyczy pewnie wszystkich. Trzy lata później, po zdanej maturze, jeszcze przed egzaminami wstępnymi na Politechnikę, dostałem zaproszenie na zabawę do Słowackiego. Strój odpowiedni już miałem, a zatem śmiało mogłem złamać obietnicę. Tym razem Cerbera potraktowałem jak powietrze, wszedłem na salę, a tam wręcz czarno. Kadeci, w ciemnych mundurach, zajęli co lepsze miejsca i ciężko było się dopchać do dziewczyn. Dwa tańce przepuściłem i zacząłem już główkować jak poznać jakąś koleżankę. Tymczasem miałem szczęście. Ogłoszono biały walc i to ja zostałem poproszony do tańca. Z daleka widziałem, jak w okolicę gdzie stałem, idzie świetna dziewczyna. Smukła brunetka, w sukni w kwiaty, o różnych odcieniach fioletu na białym tle. Zostałem poproszony do tańca. Zatańczyliśmy raz, później kilkakrotnie się zrewanżowałem, a później dołączyłem do jej towarzystwa. Dziewczyna – Ewa T. – była w towarzystwie uczniów z naszej szkoły, Haliny B., bardzo ładnej dziewczyny o figurze modelki z klasy łacińskiej z niższego roku i Andrzeja S. z łacińskiej klasy równoległej, koszykarza i dziś pewnie lekarza. Spędziliśmy bardzo miły wieczór. Później, kilkakrotnie z Ewą się spotykaliśmy – pamiętam nawet spotkanie imieninowe u Haliny. Ewa bardzo mi się podobała, niestety kontakt między nami urwał się podczas wakacji z powodu moich egzami-

nów wstępnych na PW i obozów sportowych. Po wakacjach nigdy już się nie spotkaliśmy. Nie pamiętam kiedy, ale dobiła mnie wiadomość o śmierci Ewy w wyniku wypadku motocyklowego. Po latach, od kiedy dość często bywałem na Powązkach, wypatrzyłem w jednej z alejek grób Ewy i zapalam tam lampkę na Wszystkich Świętych.

Obiecałem sobie wypalić żelazem traumę garniturową. Moje dziecko miało od maleńkości nosić na przyjęcia marynarki lub garnitury. Tymczasem urodziła mi się córka. Sprawę musiałem odłożyć do narodzin wnuka, czyli o kolejne trzydzieści lat. A zatem wnuczkowi Piotrusiowi już do chrztu zafundowałem biały smoking z muszką, a do tego fikuśną białą czapkę. Poza tym, co roku na Boże Narodzenie kupowałem zamszową marynarkę, muszkę i koszulę. Ale w wieku 6 lat, mój wnuczek, urodzony konformista, nie chcąc urazić dziadka, powiedział: ja **trochę** nie lubię marynarek. W wolnym tłumaczeniu: ja tego nienawidzę. To był ostateczny sygnał, żeby na przyjęcia ubierać dziecko w coś mniej krępującego. Na razie pozostaliśmy przy stroju zbliżonym do ubioru snookerzysty.

W stosunku do naszych koleżanek byliśmy szarmanccy. Co jakiś czas były organizowane zabawy szkolne. Sprawdzano wówczas zespół muzyczny, na ogół wojskowy, który grał najnowsze przeboje z repertuaru radia Luxembourg. Na za-

bawach staraliśmy się tańczyć ze wszystkimi naszymi koleżankami. Nie zawsze nam się udawało, bo jednak dziewcząt było zawsze mniej niż chłopców i bez naszego udziału koleżanki i tak miały powodzenie. Z okazji Dnia Kobiet organizowaliśmy kwiatki dla koleżanek i dla nauczycielek. Tego dnia próbowaliśmy odciągnąć nauczycieli od zasadniczej nauki. Często się to udawało, w czym główna zasługa Krzysztofa Piętaka, który miał duży dar przekonywania. Zamiast nauki, ad hoc tworzyła się grupa, która organizowała część artystyczną, tzn. skecze, dowcipy, śpiew itp. W części muzycznej takiej zabawy zawsze brylował Maciek Małecki, który znalazł pomocnika w Andrzeju Szejnercie.

Podobne hece również próbowaliśmy organizować pierwszego dnia wiosny czy z okazji Dnia Nauczyciela. Nawet jeśli nie udało zarwać całej lekcji, to kilka czy kilkanaście minut i tak nas urządzało.

W czasie przerw lekcyjnych bardzo często rozrabialiśmy. Jakoś trzeba było się rozładować po lekcyjnym skupieniu. W różnych okresach różnie się bawiliśmy. Raz na dużej przerwie była moda na grę na pianinie i śpiewanie piosenki "Hey Babu Riba". Tytuł oryginalny był pewnie inny, ale myśmy tak to przyswoili. Maciek grał, a reszta buczała. Było nas z dziesięciu. Brzmiało głośno, co podkreślało naszą siłę. Później modna stała się opera Carmen i pastisz:

Zabiłem byka, cóż to dla mnie byk,
Krew z byka sika: siku-siku-sik.

Maćkowi z kolei przypominałem piosenkę-żart, do której nie chciał się przyznać, a którą stale śpiewał:

Zwei caballero in kabareto
Trinken shampano ohne moneto.
Co za scandalo, hey policyjo
Bito w morderto, Santa Lucijo.

W końcu sobie coś przypomniął.

W dziesiątej klasie stworzyliśmy nieformalną grupę, tzn. Wojtek Walczak, Jurek Podolecki, Aleksander Ryba i ja. Siadaliśmy w dwóch sąsiednich ławkach i często sobie pomagaliśmy w sprawach naukowych. Wówczas wpadliśmy na pomysł spożywania alkoholu przed każdą zabawą szkolną. Oczywiście jedynie dla courage'u. Często brakowało nam pieniędzy na wino i dlatego korzystaliśmy z możliwości Saszy Ryby, który "pożyłczał" jedną butelczynę z zapasów domowych. Na ogół w czwórkę wypijaliśmy jedną butelkę wina domowego, orzechowego. W smaku to było niezłe, chociaż nigdy więcej z takim gatunkiem wina się nie zetknąłem. Działanie wina było symboliczne, chociaż humor po wypiciu nam się poprawiał. Nigdy nikt nie zauważył, że jesteśmy w stanie po spożyciu.

Grupa nasza przetrwała do końca szkoły, aż do matury i razem przygotowaliśmy się do egzaminów. Ja nie lubię być przeuczony, dlatego dołączyłem do systematycznej nauki na ok. 3 tygodnie przed egzaminami maturalnymi. W zasa-

dzie tylko powtarzałem polski i historię, bo matematykę i fizykę znałem. Pewne kłopoty z maturą podobno miał Wojtek, bo zdawał jako ostatni z nas i wpadł przed egzaminem w straszną nerwicę. Ale wszystko dobrze się skończyło.

Czteroletnia nauka, to cały szereg zajęć, podczas których dochodziło do wydarzeń ważnych i nieważnych. Wcześniej wspominałem już o pewnym upolitycznieniu szkoły, wówczas Gottwalda. Co jakiś czas były prowadzone prelekcje nt. organizacji młodzieżowych, z delikatną sugestią, aby do nich wstępować. W szkole podstawowej byłem w zuchach, jak chciałem zostać harcerzem, to organizację rozwiązano. W 1956., a może 1957. harcerstwo reaktywowano. Do tej organizacji przystąpiło szereg łepków i ja już poczułem się za stary w takim towarzystwie. W 1956. pomyślałem o wstąpieniu do ZMP. Nie pamiętam, komu zgłosiłem akces. Kandydatów było więcej. Zgłosiła się Krysia Frenkiel, Andrzej Kołaczkowski, ja i jeszcze ktoś, nie pamiętam już kto. Zostaliśmy poproszeni na spotkanie w dzielnicy, gdzieś na Marszałkowskiej. Przyjęto nas chłodno. Ktoś nas przepytował, po co to nam, ktoś inny krytycznie oceniał jakość naszych dokumentów, jeszcze ktoś inny wyśmiewał nasz młody wiek. Prawda leżała w ogólnej sytuacji ZMP, który sypał się od dłuższego czasu. Dokumenty nasze odrzucono i kazano przyjść za rok. Krysia się popłakała,

a myśmy się roześmiali. Tego dnia wróciliśmy z Andrzejem do szkoły i graliśmy w brydża. Nie pamiętam, dlaczego nie było zajęć programowych. Być może był to okres próbnych matur. ZMP niedługo został rozwiązany. Przez długie lata w okresie pracy zawodowej byłem proszony o zapisanie się do Partii, co mogłoby przez analogię spowodować jej rozwiązanie.

W ósmej klasie pamiętam wpadkę pana dyrektora Wojciechowskiego na lekcji matematyki, który usiłował wywołać do odpowiedzi Marysię F. Dyrektor podsunął okulary na czoło i sylabizował z dziennika: Fi...fi...li...fili ...pecki? I tutaj nastąpił rechot całej klasy. Najgłośniej śmiała się Marysia. To zdarzenie mocno utkwilo mi w pamięci i Marysia w moich wspomnieniach szkolnych pojawia się jako Śmieszka Marysia.

Wielokrotnie nurtowała mnie sprawa, jaki wysilek musi wykonać partner podczas tańca z partnerką. Pewnie Janek W. by to w mig obliczył. Ale do tych obliczeń trzeba podać jakieś dane wyjściowe. Czy to ma być waga ciała, siła nacisku ręki, czy po prostu tylko wyczucie rytmu. W późniejszych latach zdarzało mi się tańczyć z dziewczynami o większej wadze, a jednak wspaniale tańczące. Myśmy mieli koleżanki szczupłe, lekkie i wszystkie tańczyły lekko. Utkwiła mi w pamięci jednak Bożena G., która tańczyła tak lekko, jak by jej w ogóle nie było. Nigdy później podobnie tańczącej osoby nie spotkałem.

Sport

Czas na wspominki sportowe. O piłce nożnej już trochę pisałem. Naszej drużynie szkolnej zaproponowano akces do niedaleko położonego klubu, WKS Lotnik. Klub był dobrze sytuowany, dostawał pieniądze na działalność z rozdzielnika wojskowego. Dwa albo trzy razy w roku organizowano nam obozy sportowe. W okresie juniorskim byliśmy nawet w czołówce klubów warszawskich. Po przekroczeniu wieku 18 lat część kolegów zrezygnowała z gry. W drużynie seniorów z sukcesem zagraliśmy tylko dwaj: Mietek Kozicki i ja. W pewnym momencie przeszliśmy do Legii. Ja wówczas miałem straszny spadek formy po kontuzji i po półrocznym okresie gry wróciłem do Lotnika, natomiast Mietek grał bardzo dobrze i miał pewne miejsce w pierwszej lidze. Niestety pracując w Centrali Handlu Zagranicznego handlował szkłem i często jeździł do Krosna, gdzie poznał przyszłą damę swojego serca. Wolał opuścić Warszawę, zamieszkać w Krośnie, zmienić klub na drugoligowe Karpaty Krosno i tam pewnie zakończył grę. Z plotek, które do mnie dochodziły był tam prawdziwą gwiazdą.

W trakcie naszej gry w piłkę nożną raz w roku przeprowadzano nam badania lekarskie. U Jurka P. wykryto poważne niedomagania serca, co zmusiło go do kompletnej rezygnacji ze sportu. A szkoda. Jurek był bardzo utalentowany sportowo, w grze bardzo twardy i stanowił podporę defensywy. Niestety choroba

serca uniemożliwiła uprawianie sportu i przedwcześnie zakończyła jego życie.

Obecnie w trakcie naszych rozmów wspominkowych często dochodziło do pytania: kto wygrał turniej szachowy? Rzekniesz, że taki turniej zorganizowaliśmy. Turniej był całkowicie męski. Teraz uświadamiam sobie, jak tyłu dżentelmenów mogło nie zaprosić do gry żadnej z koleżanek. Może żadna by się nie zgłosiła, a tak z góry założyliśmy, że jesteśmy w tej dziedzinie lepsi. Nie wiem kto był trzeci, nie wiem kto był wicemistrzem. Wiem, że mistrzostwo zdobyłem z dużą przewagą chociaż nie byłem najlepszym szachistą. Miałem solidne oparcie w moim tacie, który zdobył mistrzostwo Polskiego Radia w Łodzi i który codziennie pomagał mi w analizie partii już rozegranych oraz w przygotowaniu taktyki na przyszłe pojedynki. Korzystaliśmy z pięknych metalowych szachów zdobytych przez Tatę jako nagroda za pierwsze miejsce. Ojciec pokazywał mi różne sztuczki szachowe. Bardzo dobrze w szachy grał Zbyszek S. W czasie turnieju nerwy jednak wzięły górę i dałem Zbyszkowi szewskiego mata. Podobna sztuczka udała mi się w jeszcze jednej partii.

Bardzo usportowiony był Wojtek Walczak. Miał naturalny talent lekkoatletyczny i praktycznie w każdej konkurencji miał dobre wyniki. Byłby dobrym wieloboistą. W piłce nożnej, ze względu na stoicki spokój w grze, doskonale spisywał się na środku obrony. Na wuefie podczas gry w piłkę nożną na ogół zawsze graliśmy

przeciwko sobie. Mocno musiałem się wówczas namęczyć, aby jakąś tam bramkę jednak zdobyć.

W dziewiątej klasie w szkole zorganizowano turniej siatkówki parami. Zgłosiliśmy z Wojtkiem swój akces. Wojtek miał bardzo mocne ścięcia, dobre wyczuwanie taktyki przeciwnika, natomiast ja miałem opanowany bardzo trudny serwis i bardzo dobrze grałem w obronie. Trudnego serwisu hakiem z mocnym podkreśnianiem piłki nauczyłem się od zawodników radzieckich. Mistrzostwo szkoły ku zdumieniu starszych kolegów zdobyliśmy w cuglach.

Sport w okresie szkolnym mocno dominował w moim życiu. Od momentu, kiedy zacząłem systematyczne treningi, zawsze dążyłem do zwycięstwa bez względu na dyscyplinę sportu. Profesor Ciszewski zorganizował kiedyś w Agricoli bieg na 1000 m na odznakę Bądź Sprawny do Pracy i Obrony, słynne BSPO. Obowiązywały proste zasady. Dla zdobycia odznaki wystarczał czas poniżej 3 min. Biegaliśmy czwórkami. W moim biegu startował Wojtek W., Maciej M., i Jurek H. Zamiast ruszyć wolno i to wszystko olać zaczęliśmy pełni animuszu. Na początku biegłem na trzecim miejscu. Myślałem sobie: koledzy nie trenują, a ja jestem w pełni formy, to łatwo wygram. Po 300 metrach przyspieszyłem, koledzy też. Strasznie się zdziwiłem. Ciągłe byłem trzeci. 100 m przed metą wydobyłem z siebie resztki energii i minimalnie bieg wygrałem. Wszyscy wpadliśmy na metę

prawie jednocześnie, z czasem poniżej 3 min. zdobywając w ten sposób "upragnioną" odznakę.

Kilka lat później na obozie wojskowym, w ramach porannej gimnastyki, na biegu wokół jednostki wojskowej też zawsze starałem się wygrywać. Tutaj już miałem dużą konkurencję prawdziwych lekkoatletów i wygrywałem tylko od czasu do czasu. Do dziś się zastanawiam, jak mogłem z siebie robić takiego idiotę. Na drugim obozie wojskowym już miałem dużo rutyny. Na gimnastykę schodziłem tylko za budynek, aby zapalić papierosa.

Był okres, bodaj w dziewiątej klasie, kiedy ubierałem się bardzo sportowo, niemal jak na trening. Zażyczyłem sobie na wzór rosyjski dresu sportowego i w tym stroju chodziłem do szkoły. Idiotycznie bym wyglądał wówczas z teczką, dlatego zakupiłem sobie zielony, brezentowy, wojskowy chlebak w którym nosiłem książki, zeszyty i inne akcesoria szkolne, tudzież śniadania. Wojtkowi W. mój chlebak nie dawał spokoju. Nie, żeby go nie lubił. Widział w nim tylko inne zastosowanie: przygotowanie do rzutu młotem lekkoatletycznym. Początkowo trochę mnie to denerwowało. Ale scenka, którą Wojtek odstawiał na przerwie była dobrze podpatrzona i naprawdę śmieszna, dlatego tłumilem złość. Tym bardziej, że przy zamkniętym chlebaku nic się nie wysypywało i nic nie niszczyło. Poza tym Wojtek początkowo nie rzucał chlebakiem, tylko po czterech obrotach wyhamowy-

wał, jakby widział, że coś jest nie tak. Podobnie zachowują się młociarze na zawodach.

Za jakiś czas Wojtek jednak zaczął rzucać chlebkiem o ścianę i zabawa już stawała się niebezpieczna dla zawartości. Dzisiaj już nie pamiętam, czy wówczas były w użyciu pióra kulkowe, czy jeszcze z pompką na atrament, dość, że moje pióro się złamało. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy, ale zamiast nowego, "normalnego" pióra kupiłem sobie obsadkę, stalówkę i atrament w kałamarzu. Nie zdążyłem Wojtka o tym poinformować, a on już rozpoczął poranny "trening". Trzasnął chlebkiem o ścianę i atrament poplamił mi książki, zeszyty i chlebak. Bardzo mnie kolega później przepraszał. Całe szczęście tego dnia chlebak był solidnie napakowany, książki i zeszyty ściśnięte i atrament poplamił mi tylko grzbiety kartek. Ale zabawa z chlebkiem się skończyła.

W szkole raz na jakiś czas organizowano wycieczki. W Warszawie najczęściej był to piknik w Powsinie lub na Biełanach. Zwykle towarzyszyły temu spacer, jakieś gry zespołowe, opalania itp. Chodziło chyba o wyciągnięcie nas ze szkoły w okresie matur.

W wycieczkach krajoznawczych, kilkudniowych uczestniczyłem dwukrotnie. W Płocku, który wówczas był zapyziałym miastem, dowiedzieliśmy o chlubnej, stołecznej historii miasta. Zwiedzili-

śmy zabytki na Wzgórzu Tumskim związane z panowaniem Książąt Mazowieckich. Zdziwił mnie dość duży ogród zoologiczny. W sumie snuliśmy się po ciekawych miejscach w atmosferze nieco sennego, niezbyt zaludnionego miasteczka.

W dziewiątej klasie złapaliśmy bakcyla brydżowego. Grywaliśmy często po lekcjach i rzadziej w domach. Dwa razy grałem chyba u Selima. Czuło się tam atmosferę gry, bo mama Selima była zapaloną brydżystką. Nasz poziom odbiegał jednak od możliwości kolegów brydżistów ze starszych klas, o czym mogliśmy się przekonać w czasie zimowiska w Pilchowicach.

Zimowisko w Pilchowicach zorganizowano w dziewiątej klasie, w okresie ferii Bożego Narodzenia i Sylwestra. Uczestniczyło w nim wiele osób z naszej klasy i z klas już maturalnych. Kierownikiem obozu była pani dyr. Sasin. Pani była nauczycielką języka polskiego, równie perfekcyjną w przedmiocie jak Hania Gosiewska, o czym mogłem się przekonać podczas dwukrotnych lekcji w ramach zastępstwa. Od nas wyjechali: Teresa D., Teresa O., Iwona B., Krystyna Ż., Barbara L., Krystyna F., Tadeusz H., Marek K., Andrzej K., Janek W., i inni, których nie pamiętam. Będzie okazja do sprostowań. Wyjeżdżaliśmy z Dworca Głównego. Zajmowaliśmy kilka przedziałów. Janek W.,

który rozgościł się dwa przedziały od nas, jeszcze zanim pociąg ruszył, zorganizował rzecz najważniejszą – system łączności. Miał przygotowane przetworniki z pudełek podobnych do pudełek od pasty do butów połączonych skręconymi sznurkami. Między przedziałami system działał jak bu-
rza.

Cały wyjazd był organizowany przy pomocy wojska. Zakwaterowani zostaliśmy blisko tamy w Pilchowicach, w drewnianym pałacu myśliwskim zbudowanym podobno na zlecenie Hitlera dla Ewy Braun. Okolica była malownicza, pałac wspaniały, warunki bytowe bardzo dobre. Niestety po dwóch dniach – awarii uległy urządzenia wodno-kanalizacyjne i pani dyrektor zorganizowała przekwaterowanie zimowiska do Szklarskiej Poręby. Pomagało w tym oczywiście wojsko. Wszystko odbyło się sprawnie i wyglądało niemal na z góry zaplanowane. W Szklarskiej było dużo śniegu. Codziennie jeździliśmy na nartach. Po obiedzie i wieczorami tańce, brydż i dużo wina, często grzanego. Wino patykiem pisane kupowaliśmy bardzo tanio, chyba poniżej 10 zł. Tańczyliśmy takim dziwnym krokiem, jakby chodzonego, trzy kroki w przód i dostawienie nogi, trzy kroki w tył i dostawienie nogi. Bardzo często trenowaliśmy ten dziwny taniec z Teresą O. Nie pamiętam, skąd była muzyka poobiednia, wieczorem natomiast i na Sylwestra grali jacyś wojskowi. Przebojem ich była piosenka:

Bo ja koniecznie chcę mieć małe bobo
i tylko z Tobą, a... a...

Myśmy tam bardzo rozrabiali. My, tzn. Andrzej K., Tadzio H., Marek K. i ja zamieszkaliśmy w jednym pokoju. Byliśmy głośni. Pani dyrektor miała do pomocy swojego kuzyna, starszego od nas o 10 lat który próbował nas pacyfikować. Nieskutecznie. Nawet jeden z kolegów ze starszej klasy, gimnastyk Andrzej K., popisał się lizusostwem, próbując nam wytłumaczyć, na czym polega dobre zachowanie na zimowisku. Olewaliśmy to równo. Naszą piosenką była starość:

Raz trafił frant na franta
i wyciął mu kuranta ...
Ajajaj, niedobrze panie bobrze,
Ajajaj, niedobrze.

Piosenki nauczył nas Andrzej K. Być może byliśmy głośni przez to winko.

Raz wparował do naszego domu wczasowego milicjant, nie dość, że pod bronią, to jeszcze na solidnym rauszu. Akurat stałem blisko drzwi wejściowych i on prosto do mnie: co tu się dzieje? A ja na to: spokojnie, nic. Milicjant zdjął czapkę, podrapał się po głowie i złapał się za kaburę. Wszystko wykonywał w zwolnionym tempie. Ktoś musiał już wcześniej widzieć co się dzieje i zawiadomił WSW. Chłopcy z Komendy wpadli niemal natychmiast. W końcu byliśmy w domu wojskowym. Rzadko kiedy w życiu miałem okazję oglądać milicjanta, który niemal niesiony, mając nogami, tak szybko opuszczał pomieszczenie. Byliśmy w pełni chronieni.

Koledzy ze starszych klas, o których już wspomniałem, choć uprawiali sporty, nie umieli przegrywać. W ramach mistrzostw szkolnych graliśmy z nimi mecz piłki nożnej. Nie wiem czemu mieli drużynę kombinowaną. Na bramce wystawiali znanego obecnie aktora Krzysztofa K., który chyba był w klasie o rok starszej. Mecz był wyrównany. Bramki padały na zmianę aż do stanu 3:3. Wtedy zdarzył się dziwny moment. Krzysztof K. obronił strzał i zamiast piłkę wybić postawił ją sobie na linii pola bramkowego, szykując się do wykopu jak po niecelnym, autowym strzale. Koledzy z drużyny Krzysztofa K. coś krzyczeli, ale kolega twardo szykował się do wykopu. Najbliżej piłki z naszej klasy był wtedy Tomek R. Krzyknąłem mu: Tomek strzelaj! I tak zdobyliśmy czwartą bramkę, w pewnym sensie decydującą, ponieważ cały mecz wygraliśmy 5:4. Myśmy wygrali, ale koledzy się nie poddali. Podważyli terminowość zgłoszenia naszej drużyny do turnieju i przekonywali wszystkich o bramce zdobytej w sposób nieprawidłowy. Protesty zostały odrzucone, chociaż już wtedy mogliśmy się przekonać, jak rodzi się sztuka uzasadniania, że czarne jest białe i odwrotnie.

Ja też załapałem się na dzień zdjęciowy do filmu "Zaczarowany rower". Zdarzyło się to w listopadzie, przy pięciostopniowym mrozie, pod wiaduktami na

ul. Karowej w Warszawie. Kręciliśmy czołówkę do filmu, scenę typowo letnią, w której Józef Nalberczak, nasz idol, idzie w naszym towarzystwie dwudziestu chłopaków, podchodzi do roweru sprytnie stojącego przy krawężniku, macha nam ręką na pożegnanie i odjeżdża. Zimno było strasznie. Chłopcy w krótkich spodenkach i koszulkach, a ja – nie. Bo ja już wtedy byłem w wymyślonym przeze mnie dresie. Dres w lecie też może być noszony, a nawet jak ktoś mi coś truł, to mówiłem, że do kręcenia spodnie od dresu zdejmę. Zarobiliśmy na łepka po 75 zł. Nakręcona scena wykorzystana jest w pierwszych kadrach filmu, w których moja głowa na dużym ekranie telewizora ma średnicę 2 mm.

W 1978 roku będąc na wakacjach w Pobierowie spotykaliśmy się z idolem w knajpie. Padało przez dwa tygodnie bez przerwy i poza balangowaniem z niczego z szeroko rozumianej turystyki nie korzystaliśmy.

Mam jeszcze w zanadrzu wspomnienia różnych zdarzeń szkolnych i pozaszkolnych. Przedstawię je później w ramach uzupełnienia. Chciałbym usłyszeć również inne opinie, a może tylko pytania, które wzbogacą naszą dyskusję o latach minionych.

Marzec 2013